ROZMAITOŚCI.

Dnia 12. Kwietnia. Ner 15. Roku 1854.

KAMIEŃ
czyli
co to sobie lasy opowiadają.

(Dokończenie. Ob. Nr. 14 Rozm.)

Wdzięczniśmy ci poważny starcze za twoją powiastkę, aleś nam jeszcze coś winien.

Cóż takiego? zapytał kamień.

Co robi ogień w wnętrzu skały, i czy cierpliwie niewolę znosi?

O co to wcale nie! zabrzmiał kamień daléj; bo ilekroć które z rodzeństwa zajdzie go pocieszyć i wysławić ile się przyczynia do płodności ziemi, zaraz się zaczyna zżymać, tęschnić i wzdychać do wolności w nadziei, że kiedyś jeszcze odbierze państwo nad ziemią. Nieszczęście by-to było i koniec wszystkiemu, o tém wiedzą i woda i powietrze. więc zapobiegują ażeby ogień nie dosiągł przewagi. Gdzie się tylko pojawi, wnet załatuje powietrze, żałuje lubego braciszka, a on uradowany gore zaraz jaśniéj, weseléj i mocniéj; ale powietrze czuwa ażeby pożar jego rozchwiał się a nie spotężał w sobie; i jeźli przestroga jego niedostateczną, wtedy i woda przybywa w pomoc, i często nie mało pracy potrzeba nim ogień z sykiem i pryskiem wreście się ustatkuje; znowu siedzi w zakamarkach skały głęboko pod ziemią, i wymyśla psoty, igraszki, pustoty, jakby czas sobie zabawkami przepędzić. Najprzód dłubał w kamieniu, parzył, topił, warzelisko ubarwił w kolory swéj szaty jaskrawo i purpurowo, i wydał złoto; potem wypożyczył u wody gdy się do niego szczelinami wciskała, farby świetlistéj, i pomalował inne warzelisko na biało i zrobił śrébro. Saméj nawet skale, groźnéj swéj dozorczyni odtopił rude strzępy z odzienia i namaścił żelazo. Że z tego wszystkiego nie wiele dobra, możecie sami się domyśléć. Zwodnicze to rzeczy. złoto i śrébro, za któremi ludzie szalenie się rozbijają, a poczciwe niby żelazo, coto powstało wtedy kiedy skała jeszcze nie bardzo sprzyjała urodzajności ziemi, przysłuża się tylko ludziom jakby ziemię zryć i przetrząsać, zawsze-to pozostanie kruszec swarliwy i niezgodny, bo mu skała nie z woli i chęci barwy swéj udzieliła. Lecz że to w niém jest i dobra przymieszka ognia, więc też i nie tyle jest złego po niém, owszem

z żelaza urasta dla ziemi nie mało zapłodku. Z tém wszystkiém my kamienie bolejemy że tę biedną ziemię żelazo porze, dlatego właśnie kiedy sobie żelazo w najlepsze idzie, my mu zaskakujemy drogę, tamujemy zapęd i wyrządzamy niemałą szkódkę.

A jak już miał złoto, śrébro, żelazo, sprzykrzyło się wreście ogniowi maścić warzelisko zawsze tak samo, prosił tedy powietrza by mu za powrotem naniosło innych kolorów z ziemi. Powietrze nabrało trawek i kwiatów, wprawdzie zbyt wiele tego nie było, ale ogień z nich podobierał kolorów i zaczął malować kamyki to na zielono, na żółto, niebiesko, to w inne barwy jakie dopatrzył w listkach i pączkach kwiateczków, potem to wszystko przy swoich płomykach ozłocił. Dlatego we wnętrzu ziemi, choć wy myślicie że tam brudno i ciemno, przeciwnie tam świetnie i wspaniale; barwiste klejnoty śklnią się po ścianach, są-to kwiatuszki podziemne, to oczka skały. A w tym warstacie gdzie ogień pracuje, spadnie czasami kropelka farby w odkruchy, czasami też sam ogień wyciera o próchno pędzliki swoje któremi ubarwiał złoto, śrébro i klejnociki, z tego powstają pozłotki, kruśce fałszywe, kamienie złudne, są-to te z których Gnom tęczę wyścielał jak wam to Struga mówiła.

Przecież nie słyszeliśmy nigdy żeby powietrze miało uwieść którą z naszych siostrzyczek, zagadł Tulipan i pokręcił głową.

Niesłyszeliście! bo nie myślicie o niczém, u was jak w ciemnym rogu, odpowie kamień. Przypatrzcie się tylko zorzy wieczornéj, a w powietrzu ujźrzycie kolory, jakich tu ani widziéć. Tam jest i sukienka róży, i wrzosk jaskiru, i wiolet fijołka, i zieloność trawki, czerwoność maczku, i tysiące kolorów na które wyrazu niema. Nie codzień — ale są wieczory pewne kiedy się ta cudowna pasmuga pojawia i wyziera w całéj ozłocie zpod nieba, jest-to splot kwiatów które w ręku trzyma powietrze ażeby je ogniowi zanieść. Wy, prawda! widzicie tylko odblask, bo to za daleko na takie oko jak wasze ażeby swoje rodzeństwo poznać, lecz gdybyście były waszego serca pytały, inaczéj byście teraz mówiły. Wszak was wszystkich coś ciągnie ku tamtéj stronie, wszyscy przechylacie główki wasze do tego splotu na niebie, a to jest głos tęschnoty serca co was przejmuje za odchodzącą bracią, chociaż sami o tém nie wiecie. Patrząc duszą, bylibyście to dawno wiedzieli. Ale-to wy wszyscy na ziemi tacy, i ludzie z wami; temu co czujecie, nie chcecie dać wiary, a ja wam mówię: że na próżno pytacie rozumu co jest najlepszego na świecie; to tylko serce wypowie.

Ale co robił ogień z tym splotem kwiatów gdy im powysysał kolory? zapytała Niezwódka?

Co? schował między warstwami skały, wprawdzie bezbarwne ale zawsze świetliste i trwałe; a to są listki, gwiazdy kwieciste gdzie rosną błyszczące krzyształy.

Guślarz zamilkł; a wtedy Dąb się odezwał.

Daruj, jeśli to o co cię zapytam, wydać się może obrazą, ale prawdziwie nie mam myśli przymawiać tak roztropnemu i mądremu jakim ty jesteś. Patrz! ja jestem najstarszy w lesie, a nawet dla mego wieku, mojéj stałości, i dla tych cnót jakie z tobą podzielam, przezwano mię dębem kamiennym. Więc do zaufania twego mam prawo. Nam wszystkim mieszkańcom ziemi dążenie i meta jedna, podlegamy zmianom, rośniemy i kwitniemy, wydajemy owoce każdy jak umie. A wy kamienie ciągle na miejscu, bez odmiany, zawsze ciż sami; a czy to nie smutno, nie nudno? — wszak prawda?

Czysty z was człowiek, odpowiedział kamień, pół żartem pół gniewem. Krzątacie się, kręcicie, i myślicie że wasza robota rzecz arcy-ważna, że na niéj świat stoi. Rośniecie, kwitniecie, wydajecie owoce! no i cóż z tego? Powiędnieliście, i cóż potem? Czas posunął dłonią kędyście stali, i ani śladu po was. Każdy za siebie, kto bądź on, jest tylko kropelką w wielkim oceanie natury. Kto go tam widzi, jeźli nie on sam siebie? Kto powiedzieć może na co on?

Ale co do mnie, ja się nie nudzę chociaż już długo, długo nieruchomy leżę; nie nudzę się bo mam zmysł tkliwy a wszystko wokoło mnie się odmienia. Przetoczyło się poprzemnie wieków tysiące — a dnia równego niebyło sobie. Kiedy mi przyjdzie ochota, słucham co w dali gadają, i łatwo mi bo leżę uchem do ziemi, a ze spodu podchodzi ze skały na skałę tajemnicza rozmowa kamieni, rozpowiadają sobie o cudownych okolicach podziemnych, tam-to ślicznie, a nie spisałby powieści, ktoby to chciał wszystko wysłowić co tam przyroda z ziemi wytwarza.

O co to, to prawda, dodała Jodła, śliczne-ż bo śliczne są okolice na świecie! opowiadał mi to Stryjaszek który jak wiecie będąc masztem, zwiedzał dalekie strony.

A tak! potrzęsła z przedrzyskiem Osika, dalekie strony gdzie same śniegi i lody, i twoja ulubienica zima w objęciach ziemi!

Trzepotnico, znowuś nic nie słuchała, odpowie spokojnie Jodła. Wszak wiedzieć musisz już z tego co-m sama opowiadała, że są pasy na ziemi które do lata należą, których ani tknie zima, gdzie drzewa w wiecznéj zieleni, łąki w strojach kwiecistych, gdzie woda nie krzepnie, a lód i śnieg to tylko jak pochuch obłoczny całuje ziemię.

Ah! zawołały gronem jak były kwiaty, a to nam okolica! dajcie ją nam! przynajmniéj pokażcie!

O! co ja, będę ją widzieć, odpowie struga z przechwałką i podskoczy pląsem, o będę! puszczam się w rzekę; a z rzeką w morze i poniosą mnie aż tam gdzie owe kraje.

Nim przyjdzie do tego, tymczasem posłuchajcie mówi kamień, co ja wam o nich powiem, bo właśnie mi donoszą o jednym cudownym, lubym zakątku ziemi.

W owych czasach kiedy-to woda pokój zawiérała ze skałą, umawiając się o to i owo wkołysała się w pewną miluchną zatokę, skały ją obstąpiły i po-

wznosiły korony swoje wysoko nad nią. To miejsce było najulubieńszą swobódką morzu, zaprosiło w goście powietrze, i opasali się przecudnym rąbkiem żywotnéj siły. I rzekło morze do skały: zanurz twą stopę w falę moją, ochłodzę cię! powietrze dodało, ja ci uwieńczę skronie kwiatami, a ziemia wyścieli ci kobierzec aż popod biodra. A tak pięknéj, podstawię ci zwierciadło; mówiła woda daléj, abyś się napatrzyć mogła ozdobie swojéj, i odwdziękiem wizerunku twego mnie samą ozdobić! — I tak się stało. W łuk zielony usnuły się brzegi okołem téj morskiéj swobódki, a skały wdzięczne miliły się w przezroczu u swego podnoża.

Raz gdy przyszło powietrze w odwiedziny do ognia, opowiadało o téj swobódce morskiéj gdzie woda podczas chwil rozkoszniejszych sobie duma i marzy.

A nie mógłbym i ja to widziéć? zapytał ogień.

Poczekaj poproszę skały, mówi powietrze.

Właśnie pod ową porę skała była wesołą, a woda z powietrzem w Zatoce — tak ją lubością ujęły, że wkrótce stanęły układy. I skała otworzyła na szczycie jednéj góry w pobliżu, okienko w więzieniu zniecierpiałemu ogniowi ażeby sobie kiedy zechce wychodził. Za to musiała znowu woda pozwolić jednéj skale wystąpić słupem z pod jéj powierzchni ażeby stała na straży. Właśnie naprzeciwko téj zatoki o któréj wam powiadam, tam gdzie się rozwierają podwoje brzeżne a morze zachodzi, wystaje ta skała niby niedbale z morza; i wpatruje się z jednéj strony w zatokę, z drugiéj pogląda w przestwory morskie. Ta skała sama mi to wszystko opowiadała. Wprost od niéj przy brzegu na lądzie widać owe okienko. We dnie, kiedy jasności światła oblały świat, widać tylko dymy wydęte z okna jakby obłoki; ale nocami, kiedy ziemia w ciemnościach, wtedy wystawia ogień płomienistą swą głowę z okienka, a oczy mu się iskrzą błyskawicą; a wygląda tak radośnie i wesoło, że aż miło patrzéć na jego pustoty. Często kłania się skale naprzeciw, i wita ją; skała odkłoniłaby mu się z duszy, cóż kiedy stać musi w morzu i nie sposób się ruszyć. I odkąd-to okienko w więzieniu ognia otwarte, to w zatoce tak pięknie, tak pięknie że oczy lgną.

Ale ogniowi nietylko chciało się patrzyć, pragnął co i ze swego przyczynić; więc zaczął miotać iskrami daleko poza brzegi. Niektóre iskierki popadały na drzewa w zieleni, chwyciły się liścia i nie gasły; nie, zamieniły się w owoc pałający żarem jak pałały iskry w oku jeńca na górze, i dziś jeszcze, powiada mi skała, rosną te iskry po drzewach w kształcie ognistych pomarancz; rokrocznie się jarzą ciągle, bez tchu i odpoczynku, liść zawsze pełen, ułyskujący, a po gałęziach nadobny owoc.

A czy te cudowne drzewa kwitną? zapytała Jabłoń.

Jakżeż nie! i jeszcze jak słodko, jak mile pachnie ich kwieć, a wygląda jak woniejący śnieżek, i to jeszcze: ta sama gałąź co kwitnie razem obok i owoc niesie; a co za słodycz, jaka woń

w owocu, on sam jak gdyby kwiatek żywy. A jest jedno miejsce na owym brzegu które sobie to drzewo szczególnie pokochało, to tam gdzie skały porozwieszały się nad morzem, a na swym szczycie osadziły dach pomarańczowy spleciony w siatkę smugami winnéj macicy.

Płomienie z sąsiedniéj góry radują się i wdzięczą do swego tworu, morze u stóp ich dziwne wyśpiewuje rytmy i obrąbia im szalę pianą bielutką; skała wystaje wysoko w podniebie, a powietrze obtula ją tkanką przezroczystą i napawa wszystko co na niéj; słodziutka woń pomarańczowa z kwiecia wprósza się żywcem w powietrze, duch morża w nie wstępuje, i tchnieniem uroczém wynęca w stworzeniu ochotę kąpać się w morzu.

Co wieczór powietrze, kiedy wieczorną zorzę na niebie barwi, obwleka także i skałę w różową szatę by wyglądała jak wstydliwa oblubienica morza; a zaś co noc ogień, ozdabia swą górę w świetliste wstęgi sunące ku ziemi, wstęgi o tle złotawem wyszywane w klejnoty ogniowe. I wtedy zaczynają igrać z sobą płomienie ognia z falami morza; płomienna czerwoność mruży się w wałach morza, potem z nienacka tu ówdzie wygląda ze drzeniem fal wodnych w setnych wygięciach i skrętach. A na to wszystko patrzy moja siostra skała co stoi obok strojna w winną latorośl, na głowie sploty z pomarańcz, w czapeczce z zielonéj darni gdzie smukła palma za pióro powiewa, a strzelisty aloes z kaktusem okrzysztalił przyczółek. Patrzy i rozkoszuje; a że polubiła wdzięki lubego rodzeństwa, ognia, wody, powietrza, więc im też i luby przysposobiła przybytek.

U skraju swego tam gdzie się ześlizguje do zwierciadła morza, otworzyła skała niziutką bramę, trudno prawie ją dojźrzyć, a za tą bramę wdrążyła chłodziutką jaskinię o potężném i silném sklepieniu. Tu biesiadują woda, powietrze, ogień; goszczą tu razem, społem przesiadują, a nie mącą się przecie, tylko przenikają. Morze się bałwani w snopki zielone, powietrze przewnętrza je puchem modrym, a ogień zpod głębi włamuje się, ozłaca wszystko cudownym połyskiem i wychwytuje się chwilami w żartobliwych płomyczkach, zanurza w powietrze i płynie falą podlizując ognistym języczkiem łuki sklepienia; powietrze w godach roztacza się po całéj przestrzeni, śklni się jak woda i opława całą jaskinię. To rozmowa między żywiołami; i kiedy radzi, pozwalają i człowiekowi przysłuchać się, i nie wzbraniają mu zapuścić się czółenkiem w ten cudotworny przybytek, gdzie może po modrem powietrzu pływać, kąpać się w świecącym ogniu, a oddychać w falistéj wodzie. Ale kiedy w tajemne wchodzą obrady, wtedy nie cierpią by ich kto podsłuchywał, natenczas morze wrota zastawia z bałwanów a powietrze odźwierze zasuwa wiatrami. Co się to wtedy tam dzieje, o tém tylko żywioły wiedzą, ale i moja siostra skała także wie o tém bo ich obsłania, lecz przyrzekła że się z tajemnicy nie wygada i dotrzymuje słowa.

A to pięknie z jéj strony, kocham ją za to, powiedziała róża. A czy lubi ona też kwiaty?

Różana wiosna otacza ją wiecznie, odpowiedział kamień.

Pięknie-ż to być musi, pięknie! westchnęła centofolka.

A ja to wszystko widzieć będę! wykrzyknęła struga.

A powitaj-że od nas tam róże na skale! zawołały kwiaty.

A od nas pomarańcze na drzewach! zaszeleściły drzewa.

A po czém też rozpoznam to miejsce? zapyta struga kamienia.

Po mojéj powieści, była odpowiedź. Ludzie je nazywają Zatoką w Neapolu, a moja siostra, nadmorska skała nazywa się ich językiem *Capri.*

Już ja się dopytam, zawołała struga i pomruczała daléj.

Ależ daleka była droga, długo, długo błąkała się struga po niezmiernych przestworach morza, i nigdzie nie zjawiały się cuda o których kamień powiadał.

Ja co to piszę, stałem raz właśnie w Sorrento w loży małéj willi nadmorskiéj, tam mieszkałem. Winna latorośl dopiéro dochodziła, listki były cieniuchne i przepuszczały pełne światło słoneczne, kwieć z pomarańcz roztaczał wonie, owoce się uśmiechały i zpod ciemnego liścia pomrugiwały zalotnie i mile. Wezuwiusz sadził, a morze się rozgadało. W tém uderza jakaś fala o brzegi i moim rodzinnym głosem przemawia; były-to powitania dla kwiatów i drzew z tych okolic gdzie-m ja się rodził. Struga-to właśnie przylądowała i uiściła się z danego słowa, przyniosła pozdrowienia kwiatom i drzewom, ale nic dla mnie od moich lubych.

KUPIEC z WENECYI.

(Wyjątki z tłómaczenia K. G.)

(Ob. Nr. 14. Rozm.)

Gratiano.

Zbladłeś Antonio, pochylone czoło
Nie tak jak dawniéj spogląda wesoło,
Nadto się troszczysz marnościami świata,
Zawsze od zysku większa w tém utrata.

Antonio.

Ja świat uważam, jak świat mój Gratiano,
Za błahą scenę, na któréj kazano
Każdemu odegrać rolę — a moja oddawna
Smutna, smntna Gratiano.

Gratiano.

A moja zabawna
Niech się powoli nachyla me czoło —
I marszczy wiekiem, lecz zawsze wesoło.
Wolę rozegrzać winem mą wątrobę,
Niżeli w sercu smutek i żałobę
Chłodzić westchnieniem. Wcale nie pojmuję,
Jak młody człowiek co krew w żyłach czuje,
Ma być posępny, z uczucia wyzuty,
Jak jego pradziad w marmurze wykuty.
Żółtaczką zionie i żółć swą połyka —
Jak wśród żyjących postać nieboszczyka.
Słuchaj Antonio, niech serca nie drażni
Ta moja mowa — ja z szczeréj przyjaźni,
Mówię do ciebie. Jest gatunek ludzi,
Co drugich nudzą, i których świat nudzi,
I twarz swą kryją takiém włóknem prawie
Jak zgniła pokrzew na stojącym stawie;

Umyślnie milczą jak poważne mruki —
By ujść za mędrców wgłębionych w nauki—
I chcą milczeniem przekonać naocznie:
My to Rabiny, my mądre wyrocznie!
O mój Antonio wieluż w życiu całem
Ja takich mądrych Rabinów poznałem,
Co nic nie mówią jak grobowe cienie,
By swą głupotę zawinąć w milczenie.
Kiedyś ja więcéj o tém mówić będę,
Lecz mój Antonio nie wkładaj na wędę
Udany smutek; szkoda drogiéj strawy
Dla prostéj rybki — téj nikczemnéj sławy.
Pójdźmy Lorenzo! Adio Signore!
Już po obiedzie skończę mą perorę.

Lorenzo.

I moja taka głucho-niema głowa,
Bo mi Gratiano nieda przyjść do słowa.

Gratiano.

Jeszcze lat kilka jak pobędziem razem
Zapomniesz mowę, będziesz mądrym głazem.
Żegnam.

Antonio.

Przyrzekam stanę się gadułą
Z twojéj nauki.

Gratiano.

Zawsze dobrze robi
Kto mnie posłucha; bo milczenie zdobi
Tylko Rabinów i pannę nieczułą.

(Gratiano i Lorenzo odchodzą).

Bassanio.

Ten Gratiano więcéj gada o niczém niżeli ktokolwiek w całéj Wenecyi — jego dowody jak dwa ziarka pszenicy wrzucone w korzec plewy, można je szukać cały dzień, nim się jéj znajdzie, a znalazłszy pożałować pracy.

Antonio.

Teraz mi powiedz, (mam twą obietnicę)
Któż ta Bogini, na któréj ołtarze
Miałeś w pielgrzymce nieść serce w ofiarze?
Chciałeś mi dzisiaj zwierzyć tajemnicę.

Bassanio.

Czyż moja dusza może być tajemną
Przed tobą drogi — lub twoja przedemną?
Słuchaj Antonio, ja ci od początku
Wyłuszczę wszystko. Znasz mego majątku
Zbyt szczupłe środki. Życie marnotrawne
Nad moją możność za nadto wystawne,
I tak nie wielki zniszczyło dostatek,
A nawet długi gnębią mię w dodatek —
Trza się poskromić, lecz dlatego wcale
Nie myślę skargi wywodzić i żale;
Jednéj wymagam od szczęścia przysługi,
Bym mógł uczciwie pozapłacać długi.
I tobiem dłużen nad spłaty możności
Wiele pieniędzy, a więcéj wdzięczności;
A dziś Antonio wszystkie me zamiary
Nowéj od ciebie błagają ofiary.

Antonio.

Władzę przyjaźni, Bassanio kochany
Nie zwij ofiarą. Jeźli twoje plany,
O czém nie wątpię, zgodne są z honorem,
Teraz jak zawsze zastaniesz otworem
Cały majątek i me serce całe.

Bassanio.

Nieraz w dzieciństwie gdy zgubiłem strzałę,
Drogiéj zabawki żałując w tęsknocie,
Tą samą drogą i w tym samym locie
Puszczałem drugą. Często się udało
I piérwszą strzałę znaleźć drugą strzałą.
Ten fortel dziecka, chociaż lata inne —
Dziś ci podają me myśli niewinne.
To, com ci winien, jeżeli łaskawsze
Nie zejdzie szczęście — przepadło nazawsze;
Puść drugą strzałę taką samą drogą —
A me starania odszukać ci mogą
I piérwszą może, a z pewnością drugą,
O zwiąż na wieki szlachetną przysługą
Wierne ci serce!

Antonio.

I do czegoż dąży
Ta twoja mowa, co nie śmiało krąży
W koło przyjaźni? Twoje słowa mogą
Do mego serca prostą trafić drogą.
Wierzaj Bassanio, mnie boleśniéj drażni
Ten brak ufności, co masz w méj przyjaźni,
I ta nieśmiałość do miłości brata,
Niżli całego majątku utrata.

Opowiedz śmiało, wszak na twoje chęci
Antonio wszystko i chetnie poświęci.

Bassanio.

Belmont świątynią jest cudnéj istoty,
Sławnéj ze skarbów, a sławniejszéj z cnoty,
Nad wyraz pięknéj, która ojca zgonem
Została panią władnącą milionem;
Ócz jéj szafirem co jak gwiazdy tleją
Nieraz mą duszę poiła nadzieją.
Portia jéj imię, śliczna jak Katona
Cudowna córa Bruta narzeczona,
Sława jéj wdzięków głośna w całym świecie
Z dalekich brzegów, na bałwanów grzbiecie
Spieszą książęta, żeby kornem czołem
Uderzyć pokłon hołdu przed aniołem,
Słoneczne sploty co wieńczą jéj skronie
Kolchidą czynią Belmontu ustronie,
Nie jeden Jason przybywa przez wodę
By złote runo uzyskać w nadgrodę.
Gdybym mógł stanąć między książąt gronem,
Ja bym szczęśliwym pozostał Jasonem!

Antonio.

Wiesz, że na morzu właśnie pod te czasy
Całe me mienie i wszystkie zapasy,
Gotówki niemam. Lecz niech twego czoła
Niechmurzy smutek — moje imię zdoła
(Przebacz próżności méj kupieckiéj dumy)
Nie bardzo szczupłéj dostarczyć ci sumy.
Idźmy zobaczyć w różne miasta strony,
Jakie mój kredyt może wydać plony —
Pójdźmy, a wkrótce w obliczu kochanki
Książętom równy możesz stanąć w szranki.

Nigdzie większy szacunek dla kobiét jak w Ameryce w Stanach Zjednoczonych, a przytém nigdzie dla nich większa swoboda. Wolno im od granic do granic całego państwa samym przejeżdżać, i być pewnemi że ani cień podejźrzenia na nie nie spadnie, ani żeby im kto w najmniejszém ubliżył Uszanowanie dla kobiét idzie tak dalece, że spada i na mężczyznę który damę wiedzie. Trzechset mężczyzn stać będzie nim dama miejsce zajmie, tłumy się rozstąpią, by dama piérwsza bilet przy kasie kupiła, zgraja stłumi przedrzyski z niezgrabnego mężczyzny bo on damę prowadzi. Mówimy damę, a nią jest każda co w czepku chodzi, lub chodzić może. Zmyślny Amerykanin korzysta z obyczaju, i kiedy się gdzie dopchać nie może, chwyta pod rękę chłopkę przybyłą parostatkiem, idzie śmiało i każdy ustępuje, bo on ma „a Lady in charge.“ Pewnie jest-to nadużyciem, lecz byłoby grzechem powstawać na to co z tak pięknéj zasady płynie. Gdyby nie ten piękny obyczaj, nie byłoby hamulca grubiaństwu i surowości pospólstwa amerykańskiego.

W oczach nam niszczeje świat organiczny! co to będzie! Ominmy kartofle i winogrona, ale dzienniki amerykańskie donoszą że i między ryby wkradła się niesłychana śmiertelność; wschodnie brzegi atlantyckiego morza osłane są masami ryb posnietych. Jakaś zaraza między niemi, szczęki puchną i wyrzuty w około. W południowych krajach Europy, Ameryki i Afryki padła jakaś zaraza na cytryny, kokosc, ananasy i goździki, czego nigdy nie bywało. Godziłoby się uczonym zgłebić te rzeczy.

Jakim być człowiekowi, jak postępować, jak się zachować, co i jak robić, pisać, myśléć, wreście chodzić, patrzyć, słuchać, odpowiadać, na to mają Anglicy pewną stałą normę, według niéj sądzą o starych i młodych, rozpoznają stan i znaczenie, mierzą suknię i mowę, obecność i przyszłość autora, dyplomaty, obywatela, nawet sługi wyrobnika. Mówią że Anglikom wszystko wolno, taka na lądzie o nich opinia; Anglik zaś u siebie wie że mu to tylko wolno co jest przyzwoitém, a przyzwoitém jest dlań to co odpowiada temu trojgu: Delicacy, Fashion i Respectability. Kto uchybia przeciw temu co fashion, nie należy do towarzystwa, kto uchybia przeciw respectability temu w obywatelstwie nie żyć, a kto uchybia przeciw delicacy, ten wywołany z obcowania w uczciwym świecie. Potępionym bez odwołania kto zgrzeszy przeciw temu trojgu co naszym językiem znaczyćby mogło: skromność albo wstydliwość, obyczaj albo modę, i stateczność albo powagę. Jest-to wszystko wprawdzie i u nas znaném, ale nie jest w ten sposób praktykowaném jak u Anglików, bądź że my z natury łagodniejsi, bądź że stany nasze jeszcze się tak wydatnie jak u nich nie odgrodziły. Bądź co bądź, dobrze wiedziéć jaka komu w słowach i jego pracach miara.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*